

# Janda

Andrzej Łapicki

Takich długich nóg i takiej krótkiej mini w życiu nie widziałem. I do tego miała osobowość. Miała na pewno. Tak to jest na egzaminie wstępnym w szkole teatralnej. Defiluje kilkaset przypadkowych osób. Nuda ogarnia salę wraz z komisją. I nagle wchodzi ktoś, kto elektryzuje, budzi uśpione grono. Dlaczego? A bo ja wiem. Może uśmiech, może nogi, może głos. Chcesz na nią (na niego) patrzeć. A o cóż chodzi na scenie? To się dawniej nazywało wdziękiem scenicznym, jeszcze dawniej – talentem. Nikt nie powie, na czym to polega. Otóż weszła – przedstawiła się – i już dla mnie była w Szkole, ba, na scenie. Później etapy, męczarnie egzaminów – paniom niezbyt się podobała, jak zwykle. Tak się złożyło, że ja prowadziłem jej ostatni egzamin. Mówiła chyba jakiś monolog z „Niebezpiecznych związków”. Poprosiłem, żeby usiadła naprzeciwko mnie i nie recytowała, ale wyznała mi swoją miłość prywatnie. Jeden ze znanych numerów egzaminacyjnych. Zrobiła to od razu świetnie, aż za świetnie, może za erotycznie, bo ochmistrzyni PWST (wg terminologii Bogusławskiego) Rena T. nagle się wyrwała: „Proszę o zmianę egzaminatora!”. Że niby coś uprawiamy seksualnego. „Oczywiście” – powiedziałem i poprosiłem Janka Kreczmara: „Jasiu, bądź łaskaw pani popartnerować, a pani zechce tym samym tekstem zrobić panu profesorowi dziką awanturę”. Też stary trik egzaminacyjny. Janek protestował, że dlaczego mnie ma kochać, a jemu wymyślać, ale skończyło się na śmiechu. Oczywiście zdała. Potem, jak to w Szkole, różnie było. Panie kręciły nosem. U Romanówny nie wyszła poza dostateczny, ale mnie i Saszy Bardinemu bardzo się dalej podobała.

Była na czwartym roku, siedziałem w swoim gabinecie dziekana. Wkracza Janda: „Panie dziekanie, jestem w ciąży”. „To szczęśliwe wydarzenie” – mówię. „Tak, ale nie chcę tracić roku”. A to był wrzesień! „Nic nie stracisz. Wiem, że profesor Bardini w telewizji robi z tobą Maszę w »Trzech siostrach«. Jednocześnie

w Szkole szykuje »Krakowiaków i Górali«. Zagrasz jakąś góralkę, zaliczymy ci telewizję i wystarczy do dyplomu”. Trzeba było zagrać na czwartym roku dwie role. I tak się stało.

Po dyplomie porwano ją Ateneum, żeby zagrała Anielę w „Ślubach” u Świderskiego. Ja bym jej tak nie obsadził. Jednocześnie Hanuszkiewicz, u którego byłem, dał mi do przeczytania „Portret Doriana Graya” w przeróbce Osborne’a. Zwróciłem uwagę na wskazówkę autora – „Doriana może grać dziewczyna”. Wyrwałem Jandę z Ateneum. Była rewelacyjna. To, że Dorian grała dziewczyna, stwarzało trzecie piętro perwersji. Wyglądała, w czarnym fraczku i białej koszuli, jak chłopiec, który wraca z confirmacji (chyba tak napisał pan Grodzicki). Grała świetnie. Była bardzo kontaktowa, po czym poznaje się klasę. Wajda przyszedł, zachwycił się i obsadził ją w „Człowieku z marmuru”. I tak się zaczęła wielka kariera Jandy. Granie jej nie wystarczało. Reżyserowała w filmie, w teatrze. Grała te swoje monodramy, czy półmonodramy. Nie można na nie było dostać biletów. Role Valentine i Callas dały jej scenę na własność. Tylko ona się liczyła. Zetknąłem się z nią jeszcze w „Niemcach” Kruczkowskiego w Teatrze Telewizji. Grała Ruth. Jest tam taka kwestia, która decyduje o roli. Kiedy po nią przychodzi Gestapo, Ruth mówi do Liesel, która ją wydała: „Ach, Liesel, Liesel...”. Genialnie mówiła to niegdyś Eichlerówna. Opowiedziałem Jandzie, na czym to polegało. Była tam pogarda, litość i wybaczenie. Połączenie nie do zagrania. Janda to wykonała.

– Eichlerówna to cel, do którego Janda powinna dążyć. Lena też była lepsza w komediach. No i miała niezrównaną osobowość. I poczucie humoru. Potrafiła po łzawo-tragicznym monologu w „Marii Tudor” wyjąć białą chustkę i siarczyście wytrzeć nos. Janda może wzięłaby mniejszą chustkę. ▣